

- Za to my nie widzimy już drogi - zauważył Álvaro Castanheda. -
Gdzie są parobkowie?

- Właśnie. Gdzież oni? - spytał Baltazar, a Jan Krypa spiął konie
gwałtownym ruchem.

Bożydar, Palikot, Kupczyk i Gomółka rzeczywiście zniknęli w mro-
ku. Zbylut chciał ich zawołać, ale Jan Krypa skarcił go ruchem dłoni.
Konie prychnęły i zatrzymały się pokornie, ale czuć było niepokój, któ-
ry wietrzyły nozdrzami. Poprzez stęchliznę wilgoci i porostów, przez
woń porastających próchniejącą korę grzybów do chrap wierzchowców
docierało coś jeszcze. Baltazar spostrzegł, że konie grzebią kopytami
w piachu, pamiętał, że tak zwykły robić jedynie przed wielkimi bitwa-
mi. Zaraz potem usłyszał zawodzący dźwięk, przeciągłe wycie najpierw
z prawej, następnie z lewej strony. Po chwili wyła już cała knieja.

Wtedy po raz pierwszy z wozu wychyliła się uwięziona Katarzyna
Zdunek i głosem pełnym trwogi zawołała:

- Uchodźcie! Uciekajcie czym prędzej!

Zanim do Baltazara de Castro dotarło, że niewiasta wykrzyczała
to po łacinie, parobkowie wypadli z ciemności. Trzej, bo jednego
z nich brakowało. Pędzili co sił w nogach, z przerażeniem w oczach,
potykając się o korzenie i jamy w ziemi. Gdy dopadli do wozów, naj-
szybszy z nich Bożydar krzyknął, łapiąc oddech:

- Zabiły Palikota! Boże, bądź miłościwi! Zagryzły Palikota!

- Kto taki? - zdołał zapytać Jan Krypa, a wtedy naprzeciw karawa-
ny pojawiła się żarząca się para oczu, po niej kolejna, jeszcze jedna,
całe mrowie.

- Wilcy! Boże Przenajświętszy, miej litość! - wrzasnął Bożydar.

Pierwszy wyskoczył z gąszczu duży, ciemny basior. Przywarł do
ziemi zgiętymi przednimi łapami, zmarszczył pysk i mrugnął śle-
piami. Był gotowy do walki, w której stawką były łupy zapewniające

przetrwanie jego stada. Zlewająca się z tłem sierść zwierzęcia nie pozwalała dobrze ocenić jego rozmiarów, ale musiał mieć ponad trzy łokcie, może nawet trzy łokcie i dwie ćwierci. Za nim susami biegła szara wadera, a za tą parą wyłoniła się reszta watahy.

- Broń! Gdzie broń? - krzyknął Zbylut.

- W nogi! - optował Krypa.

- Nie, bo pogubimy się w lesie! Do broni! Tnij, rąb, strzelaj!

Basior z waderą podchodziły od przodu, z boku zbliżały się młodsze osobniki ze stada. Tym razem jednak się zawahały. Zobaczyły przed sobą grupę swoich największych wrogów - ludzi. Instynkt podpowiadał wilkom: wycofać się. Widok przywiązanych do powozów koni doradzał: nie tak prędko.

Zaatakowały. Na ten widok parobkowie Krypy popełnili błąd, ruszając do ucieczki. Jeden wilk rzucił się na plecy Kupczyka i z przeźrliwym charkotem zatopił mu kły w karku. Parobek wrzasnął i rękoma próbował zrzucić zwierzę, ale wtedy za ramię złapał go kolejny. Trzeci zaatakował od przodu i gwałtownym ruchem łba uderzył w brzuch, wywlekając na wierzch jelita.

- Nie uciekniemy! - wołał Jan Krypa w coraz większej panice.

- Może się nim zadowolą - rzucił Zbylut.

Álvaro Castanheda niezwykle sprawnie, jak na to, co wypił, ciął szablą powietrze, zatrzymując atak wilczej gromady. Zwierzęta zniechęciły przed nim ostrożnie, przywarły do ziemi, zjeżyły sierść i zawarczały. Portugalczyk przylgnął jednak plecami do wozu i nie mogły go podejść. Rdzawy samiec o wyszarpanej z boków sierści odważył się ruszyć do przodu, ale wtedy Castanheda jednym cięciem rozplątał mu gardło. Pozostałe powstrzymały swe zapędy.

Zwłaszcza że naprzeciw nich stanął też Baltazar de Castro, uzbrojony w szablę w jednej ręce i sztylet w drugiej. Czuł, jak fala zimna

zalewa mu nogi i przykuwa do ziemi, jakby wykuto go z bryły lodu. Drapieżniki jednak nie zamierzały na niego natrzeć, obrały sobie inny, łatwiejszy cel - zaprzężone konie.

- Rozwiążcie mnie!

Katarzyna Zdunek zeskoczyła z wozu i pokazała Portugalczykowi skrępowane dłonie.

- Rozwiążcie! Potrafię pomóc.

- Wracaj na wóz - krzyknął Baltazar de Castro.

- Tnijcie! - Podstawiła dłonie, więc ten nie zastanawiał się długo i jednym ruchem ostrza rozciął więzy. A ona w te pędy podskoczyła na drugą stronę wozu. Nie zamierzała jednak uciekać. Dobyła szabli, rozcięła także pęta na nogach, po czym dwoma susami znalazła się przy oblężonym przez wilki Portugalczykowi. Przywarła do niego barkiem i wskazała palcem wolnej ręki:

- Ten ciemny i ta wadera. Trzeba je ubić. Uderzajcie wraz ze mną. Bo konie porozszarpują.

- Ale... - jęknął jedynie Baltazar.

Katarzyna Zdunek nie pozostawiła mu jednak wyboru. Bez wahania ruszyła z wyciągniętą szablą w stronę basiora. Zamachnęła się, rozpędzając zwierzęta, dobiegła do wilka sposobiącego się do ataku na pierwszego z brzegu konia. Gwałtownie pchnięte ostrze zagłębiło się w jego sierści pod łopatką i przeszło serce. Basior warknął, stęknął, wyprężył się i padł w jednej chwili martwy.

- Wadera! - krzyknęła. - Bez niej wataha straci rezon! Żywo!

Krew na powrót napłynęła do nóg Baltazara, gdy posłyszał to wezwanie. Spojrzał na niewiastę badawczo, dostrzegł jej rozwiane włosy i zupełny brak lęku w oczach. O ile rycerze Zbyluta, Álvaro Castanheda i on sam działali chaotycznie, o tyle każdy jej ruch był pewny, jakby od dawna przemyślany. To dodało Baltazarowi odwagi, ruszył

więc za wybawicielką. Ta natarła na wilczycę z impetem równym atakowi całej sfory. Zwierzę skuliło się i cofnęło, ale wtedy trafiło prosto pod szablę Portugalczyka.

- Nie daj jej uciec!

Gdy chciał się zamachnąć, skoczyła na niego, celując wyszczerzonymi kłami prosto w gardło. Kłapnęła jednak tylko paszczą. Baltazar zdołał się uchylić, ale drapieżnik zahaczył zębami o jego lewy bark. Portugalczyk dzielił wilczycę brzeszczotem przez grzbiet, skalpując ją od karku po ogon. Wilk zawył przeraźliwie i jał bić łapami o piach w agonii. Zadrżały mięśnie drapieżnika, poddając się nadchodzącej śmierci.

Widząc to, reszta wilków utworzyła krąg i zaczęła biegać wokół karawany. W tych ciemnościach nie było ich widać, jedynie zza drzew i zarośli dobiegało dyszenie, pomrukiwanie i warczenie. Na placu boju pozostały rozszarpane szczątki ludzkie i zwierzęce.

- Wszyscy do mnie! Plecami do siebie! - dyrygowała Katarzyna. - I ostrza szabel na zewnątrz! Róbcie, co mówię, jeśli życie wam miłe!

Żaden z mężczyzn nie ważył się jej nie posłuchać. Stanęli, jak kazała, tworząc najeżony ostrzami krąg. Wilki krążyły jeszcze przez chwilę wokół, biegając to tu, to tam z głośnym kłapaniem szczęk, warcząc przy tym i prychnając, szacując stratę aż tylu członków watahy jako niewspółmierną do łupów, aż w końcu poniechały. Zaległa cisza, jeszcze bardziej niesamowita od niedawnego bitewnego jazgotu.



Nikt nie zatrzymywał Katarzyny Zdunek, gdy ta zniknęła gdzieś w lesie. Nikt jej już nie zamierzał krępować. Zresztą powróciła